

Gołębiowski, Stefan

Opowieść wiatraczna, "Tygodnik
Kulturalny" 1969, XIII 13 (676) :
[przedruk]

Bieżuńskie Zeszyty Historyczne 25, 39-49

2011

Artykuł został zdigitalizowany i opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych oraz w kolekcji mazowieckich czasopism regionalnych mazowsze.hist.pl.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

OPOWIEŚĆ WIATRACZNA

„Tygodnik Kulturalny”, 1969, XIII 13 (676)

Mój ojciec wiatraczny, pamiętam, mawiał: co innego wiatr i co innego wiatr. Wiatr jest niestały, fałszywy, przewrotny. Niby się chylił, ściele do nóg i naraz ni z tego, ni z owego praśnie, zamaluje w pysk, że aż się gęba wykrzywi. A potem nisko kapeluszem strąconym się kłania i biegnie posuwiście. Taniec śmieci prowadzi i jednocześnie gdzieś tam w kącie załatwia się, że aż papiery furczą. Z ulgą mgłą odetchnął, gołym tyłkiem jak miesiąc świeci i po ulicach kołuje. Szuka własnego adresu i znaleźć nie może. Do klamek się doбира, do drzwi puka natarczywie, żeby otworzyć. A jak kogo wypłoszy, wyprawia istne brawerie. Nie daje spokoju, dopóki ci kołnierza nie podniesie, i już dalej sam nie wiesz, jak się znajdziesz w karczmie. Jeszcze pół biedy, jeśli zawiany na własnych nogach stamtąd wyjdiesz bez widocznego szwanku.

O wiele gorzej, jak zaczniesz wiać w oczy. Wtedy nie ma drogi do twojej niebogi. Z każdej wykurzy cię drapakami wierzb. Będzie utrapieńca udawał i rzucał pętlę na topole jak obwieś. Nawet największej da radę. Grzotnie fest i runie na grzbiet, że wszystkie w drzewie kopyta zadrze do góry. Taką ma fantazję szubienicznik. A popróbuj za nim biec, to ci skrzydła z kapoty wydobędzie, strachem na wróble uczyni i w pole pogna albo porwie, gdzie nie pieprz rośnie, ale piach w wydmach. Do Białogóry stójkowego zaniósł, kołtun głowie przypawił i tak do wiatru wyszychtował, że aż dostał kołowaczny. Z wiatrem nie ma żartów. Niemaló łez wylał deszcz do kałuż i rynsztoków. Gwiżdże na wszystko ubezpieczony w swej bezkarności. Chuligan, nie ma co gadać.

Pamiętam ojca na progu, jak stoi i mówi: wiatr. Jakby kto ciebie po twarzy pogłaskał, ręką matki po czuprynie przejechał. Pod pachę za pan brat ujął i wiódł do wiatraka. Nie wiem, dlaczego śmiejesz się jak głupi, a on pod nosem cichutko nuci: U młynarza Marcina, chociaż tobie nie Marcin na imię, ino Franek. Pamiętaj: wiatr. Nie na próżno dałeś mu skrzydła wiatraczne. Może cały dzień bez wytchnienia śmigać. Może całutką noc kocołować, żeby ziarno przerobić na mąkę jasną jak słońce.

Wiatr kocha się w złotych rękach. Wiecznie ich szuka i znaleźć nie może. Sprzyja tym, co mu pomagają, własnymi służą i dogadzają jak ksiądz Magdzie. Kiedy galanto przyuczysz się sztuderować, nakręcać pojazdami, śmigi raz napirzyć, drugi raz wypirzyć, to możesz na jednej nodze wiatracznej stać stokroć pewniej niż na dwóch własnych. Chyba że w sprawę wda się Wiatrakowski.

1

Dwa wiatraki nadwiślaki. Tak je nazywano, jakby Wisła była za progiem, a nie o dziesięć mil, skąd przybyli ich mocodawcy. Nie wytrzymali konkurencji z młynami i za radą myślińskich furmanów, co siano w tamte strony upychali, od samoszyjcy, prawie za bezcen, kupili dwa place przy dawnym trakcie, podobno jeszcze grunwaldzkim.

Jak okiem sięgnąć, aż po Białogórę, ziemia cygańska, gdzie wiatr handluje piaskiem, wydmuchów, trudno o lepszy dla drewnianych olbrzymów.

Widnokraż zamknięty okolicznymi lasami. Drzewa w bród i to nie byle jakiego. O jaworach do dziś mówi dziewięć wsi, które od nich wzięły nazwę. Starodrzew na kloce, jak się patrzy, choćby pod główny wał. Dziedzic do rzeczy, ceny przystępne, Żydzi z kredytem otwartym w składach.

Nadwiślacy, zwyczajnie w ich profesji, znali się też na obróbce drewna i ciesiołce wiatracznej. Jeden drugiemu służył radą i pomagał. Czas naglił, a robota szła jak na zawołanie, bo przednówkowych rąk można mieć za psa grosz, ile dusza zapagnie.

Ledwie w górę podnieśli i umocnili stąper, a już na palach stanął szkielet wiązany w żebrach. Schodami i piętrem poszedł pod dach. Jest już krzyż, a jak się wiatrak przeżegna, to dalej robota leci galopem. Stodoły, co stały opodal rzędem, wierzeje otworzyły z podziwu. Sprawa nieczysta, diabły nie ludzie stawiają te wiatraczyska. Szła pogwarka, jak to mówią, od ucha do ucha.

Rzeczywiście, już po żniwach drewniane płuca nabrały tchu i wiatraki stanęły do pracy. Jak chmury pod jesień hurmem nadciągnęły furmanki z worami zboża. Każdy na własne oczy chciał zobaczyć i wypróbować, który lepiej pytluje.

Śmigi na pełnych płachtach pracowały dzień i noc, bez ustanku. Urodzaj dopisał, żniwom sprzyjała pogoda uroczysta, ziarno chrzęściło w dłoni, mąka piękna, że aż oczy się śmieją.

Miarka do miarki, grosz do grosza, zarobki rosły jak na drożdżach. Nie warowało więcej niż rok i przy wiatrakach stanęły dwie chaty szynkowe z gankami, a obok nich budynki gospodarcze.

Dobrobyt sprzyjał zgodzie sąsiedzkiej i wzajemnej zażyłości. Syn jedynek i córka jedynaczka mieli się ku sobie i nie bez aprobaty rodziców odbywali posiedzenia balowe — od pozostałego po budowie balu, który leżał jak długi w poprzek.

Spokój zakłócały jedynie psy, które rwały się z łańcucha, jakby chciały jeden drugiego ze skóry obedrzeć. Takie były zajadłe.

2

Wszelako fortuna kołem się toczy. Po urodzajnych przyszły lata chude. Nadwiślaczy odczuli to na własnej skórze. Chociaż jeden drugiemu nie chytrzył, ale już zaczęli patrzeć na siebie kosym okiem.

Wydawało się, że wiatrak, co stał dalej o jedną staję drogi piaskiem mielonej, powinien znajdować się w gorszej sytuacji, a wyszło inaczej. Do dalszego jechały wozy, jak za dobrych czasów, a do bliższego w pojedynkę i od przypadku, gdy u sąsiada był tłok za wielki.

Nie dziwota, odpowiadali indagowani. U Bielickiego bielsza mąka i nie trzeba długo bałamucić. Młynarz całą gębą. Jest z kim pogadać, szczerzy, machorką poczęstuje. A Łowiński widać majster lada jaki. Koniom zachodzi drogę, chłopów łowi za kapotę, żeby upolować całej parady miarkę jedną i drugą.

Bielicki rzeczywiście znał swój fach. Był młynarzem z młynarza, z rodziny wiatracznej. Życie układało mu się, jak z płatka, ino z synem nie mógł się wcale dogadać. Taki był odmieniec.

Na oko chłopak jak się patrzy. Rosły, smagły, z ciemną bujną czupryną, kawaler z fantazją i do tańca, i do różańca. Z tym różańcem to już przesada. Raczej na skrzypkach palcami przebierał. Zdobył cygańskie za wór mąki podczas zimy głodowej i grał na nich od ucha, jakby wyszedł z Chorzewskiego szkoły.

Zadna lepsza zabawa, żadne większe weselisko nie mogło się bez niego obejść. Należał do tancerzy zawołanych i miał mir wśród dziewcząt. Zwłaszcza udał się Maryśce. Obtańcowywał dziewczynę, ale z konkurami się nie kwapił. Z przymrużeniem mawiał, mam jeszcze czas, szczęście i tak nie ucieknie. Jak się wyszumię, lepszego smaku nabiorę.

Z wiatrakiem żył na bakier. Lekkoduch do pracy wcale się nie palił. Ojciec musiał sam za dwóch harować. Czeladnika nie chciał przyjąć, bo jeszcze kalkulował, że się chłopak ustatkuje i do roboty weźmie bez gadania. Przecie czas robi swoje.

Jak mógł, tak się nie dawał, ale od ciągłego kocołunku wyraźnie osłabł i opadł na siłach. Nocy jednej zasnął na workach, zziął na kość, febra go wytrzęsła i na dobre zachorzał.

Wiatrak, z konieczności spadł na głowę jedynaka. Zrazu nowość go bawiła i młynarzował z ochotą. Na niedługo jednak starczyło do-brych chęci. Kiedy przyszedł karnawał, zaczął bałamucić i wiatrak źle obsługiwać.

W ten sposób ludzi odstręczył i dobry los z kwitkiem odprawił.

3

Nie było innej rady. Fury coraz częściej zaczęły stawać przy wiatra-ku Łowińskiego. A ten nie w ciemną bity z wyjątkowej okazji korzysta. Od chłopów bierze skromniejsze miarki odsypu, daje kredyt, znalazła się nawet łakoma rzecz, gorzałka. Kundmanów, jak może, kaptuje.

Jakby kto w kole szczęścia felgi zmienił. Ręce nie nadążają. Wła-snymi dwiema nie podolasz. Przydałyby się drugie, młodsze. I czelad-nik, jak na zawołanie, jednego dnia zjawił się przed zachodem słońca. Jak zwyczaj każe, został gościnnie na noc przyjęty i ufetowany.

Wywiązała się dłuższa pogwarka na różne tematy światowe, żeby w końcu zejść na wiatraczne pytlowanie. Łowiński w głowę się podra-pał i poszedł po rozum do głowy. Niepewny o jutro zwierzył się ze swoich kłopotów. Wiatrakowski, bo tak się obieżyświat nazywał, roz-śmiał się od ucha do ucha. okiem diablo błysnął w stronę dziewczyny, poderwał się i nogą tupnął, jak kopytem. Już on zna się na rzeczy i wie, jak złu zaradzić.

Niby mówił do Łowińskiego, a ślipiami biegł za Maryską! Dziew-czyna polna, oczy jak bławatki, wargi jak płatki maku rozchylone, a zgrabna jak by ją wiatry rzeźbiły. Takiej szukał i jeszcze dotąd nie znalazł. Bez większych termedii przystał na czeladnika, niby zrazu na kwartał, ale zanosilo się na dłużej.

Sytuacja w wiatraku poprawiła się nie do porównania. Mąka, niech się schowa nawet krupczatka. Widać młynarz nowotny niebywały, a do tego chłop na schwał. Dwa korce potrafi nieść pod pachami i to po

schodach. Oczywiście na oczach Maryśki, która nieświadoma ukrytych zamiarów, podobnie jak ojciec, czeladnikowi sprzyjała.

W poście Stacho wrócił do roboty, ale już poniewczasie. Sprawa mało co się poprawiła, kiedy stary nareszcie wydobrał. Pod Wielkanoc, jak to mówią, martwe ciele ruszyło ogonem, ale po świętach na przednówku już nie było na co liczyć. Syn zaczął zarabiać jako muzykant i jedynie on jeszcze jakim takim groszem świecił.

Wiatrakowski rósł w oczach, a Stacho jako cień już nie mógł dawnego siebie odnaleźć. O nowym czeladniku opowiadał niestworzone rzeczy. Pono z Tatarskiej Góry łeb koński wygrzebał i zakopał w Kosnem, że ino nozdrza, miał na wierzchu. Jak wiechetkiem od strony Bielickiego chrapę zatka, to nie ma mowy, żeby wiatrak ruszył skrzydłami.

Ile w tym było prawdy, Bóg raczy wiedzieć, gdyż łba nikt nie mógł odnaleźć. Tak był sprytnie ukryty.

Dla Bielickiego przyszły czasy ciężkie. Chłop stracił rezon i chodził z kozłem na czole. Kobita rozjuszona trajkotała lepiej niż wiatrak na chodzie bez ziarna. Pyskata z przyrodzenia używała sobie, ile wlezie i jeszcze jej było za mało.

Z sąsiadką, kobieciną dotąd cichą i zgodną, przemówiły się zęb za zęb, nie na żarty. Oczywiście Wiatrakowski był w robocie.

— Z ciortem wdaliście się w sprawę i zobaczyta, na dziadaków was wykieruje.

— Prędej wam z kijaszkiem w świat ruszyć wypadnie o chlebie proszonym.

— Ślipiami lata za twoją dziewuchą, niebożatko, poczekaj, bękartu ci w podółku przyniesie.

— Chyba was wściekły kocur pokąsał z waszej szcurzej arki. Łowińska szcurów nie wymyśliła. W pustym wiatraku wśród sztochmali paskudztwo się rozplenilo i kot odczuł to na własnej skórze.

Baby się przegadały i nieprzejednane rozeszły, każda w swoją stronę. Gorzej było z Bielickim. Nie tylko za dnia, ale i nocą z własną połowicą nie mógł wytrzymać. Gadała, że jest dziadem, niedołągą i jako chłop do jej łóżka leżeć nie powinien. Sklął jędzę i przeniósł się na podgórek do obory, gdzie sporządził sobie legowisko. Cóż, kiedy i stamtąd go wykurzyła.

Wówczas wpadł na pomysł szczególny. Pod wiatrakiem w podłodze wyrznął dwie twarde deski od łaguna do łaguna, żeby znaku nie było.

O późnym zmroku chyłkiem skradał się jak złodziej, włożył pod wiatraczną kieckę, wspinał się w górę po gicołach i przez dziurę lał do środka. Otwór dla niepoznaki zakrywał i po stopniach włókł się do fejzy. Padał na wyrko, rozprostowywał gnaty i mamrocząc „owoc żywota twego” zasypiał.

Nie na długo. Cisza wiatraczna spać nie dawała. Zachodził w głowę i szukał wyjścia. Nie widział innego, jak tylko, interes zlikwidować, lecz skąd wziąć kupca. Zły duch jakby czekał na to. Weź fajerkasę na większą sumę niż wartość, syczał przez szpary do ucha. Zbuduj wiatrak z dymu i z ognia, kusił. Idzie jesień, wiatrów niebrak, pomyślał. Stodoły wciąż się palą i jeszcze nikomu korona z głowy nie spadła. Co się da zbiorę, wrócę w swoje strony i wezmę w dzierżawę jaki młyniak. Woda zawsze pewniejsza od wiatru, który nigdy nie wie, komu służyć wypada.

Baba zachodziła w głowę, gdzie się chłop podziewa. Nie było śladu w karczmie ani u kmotrów. Wiatrak fest na sztangę i kłódkę zamknięty. Klucza nie ma. Czyżby mógł się dostać do środka i drzwi za sobą zakietować? Może od Wiatrakowskiego jakiej sztuki zażył, ale jak dotąd nie dał się przekupić. Flachę gorzały wychłał i nici z tego. Ciortowskie nasienie. Splunęła paskudnie.

Przypadek przyszedł nie matce, ale synowi z pomocą i wskazał drogę. Kiedy wracał późnym wieczorem z muzycznej zabawy, nie zauważony, w mroku ujrzał ojca, jak się skrada pod wiatrak. W domu nie puścił pary, ale nazajutrz zaczął badać tarcice i tyką trafił na dwie ruchome.

4

Dobrobyt i szczęście nie zawsze chodzą w parze. Przynajmniej u Łowińskich nie widać oznak radości. Z powodu córki.

Wiatrakowski, zrazu powściągliwy, dziewczynie sprzyjał, nadska kiwał, prawił słodkie słówka, ale tylko do czasu. Najpierw umocnił pozycję na wiatraku, a potem i w domu czuł się coraz pewniejszy. Krążył koło Maryski coraz natarczywiej, prawił kawały i żartem naga bywał. Raz nawet ośmielił się na krok bardziej obcesowy.

Kiedy przyniosła mu obiad do izby czeladnej, grabnął dziewczynę w pól i chciał cmoknąć. Wówczas narwaniec spotkał się z odprawą co się zowie. Strzeliła amatora kwaśnych jabłek w papę, aż osłupiał. Ma-

ryśka w popłochu wróciła do domu i rodzicom zdradziła swoje przewidywania.

Jakby oczu nie mieli, rozłożyli ręce i radzili trzymać się z daleka, żeby wilka nie wywoływać z lasu. Odprawienie czeladnika nie wiadomo czym może się skończyć. Bielicki przycisnął się i czeka lada sposobności. Pamiętaj, córeczko, kto się na gorącym sparzy, ten na zimne dmucha.

Wiatrakowski odetchnął. Wywnioskował, że może sobie na więcej pozwolić. Maryśka jednak od wiatraka stroniła, kryła się po kątach, w izbie własnej drzwi na klucz zamykała i absztyfikant musiał obyć się smakiem.

Stacho, tak zawsze pewny siebie, stracił fason i chodził z nosem na kwintę. Widział, czym rzecz pachnie, ale w biały dzień spotkać się nie mogli. Posiedzenia balowe już się dawno skończyły. Stawał w poprzek ojciec, czuwała matka i Wiatrakowskiego ślepią świeciły ogniem, aż mrówki szły po skórze.

Skrzypki, dawniej ochocze, teraz w smyczku zmiękły. Stały się tak żałośliwe, że aż w dołku zaciskało. Radość dzieliła, smutek jednoczył. Oboje nabrali wielkiej ochoty do siebie, a tymczasem każdy dzień rósł murem nie do pokonania.

Dopóki nie było złości, nienawiści, dopóki nie było Wiatrakowskiego, Łowińscy życzliwym okiem patrzyli na Stacha. A teraz wszystko inny bieg wzięło. Chłopak nicwart, lekkoduch, nierobiga. Majątek zmarnuje i na psy zejdziesz. Po takim wszystkiego można się spodziewać.

Jak na złość również Maryśka przestała się podobać Bielickim. Nie wierzyli w jej niewinność. Cicha woda brzegi rwie. Jak dziewczyna chłopaka nie dopuści, to ten zna swój mores. Musieli się z sobą zwąchać i nie bez racji jest o czym gadać.

Chmur coraz więcej. Idzie późna jesień. Już nieba prawie nie widać.

5

W połowie października nadciągnęły wiatry porywiste. Łamały płoty, zrywały dachy. Mało kto nosa wytykał z izby, chyba z konieczności.

W jeden z takich dni zapowietrzonych Bielicki wybrał się do powiatu. Wrócił dopiero o zmierzchu, pod dobrą datą i w złotym humorze. Wszystko poszło jak po maśle. Nabral wigozu i chciał się z babą nie tylko ugadać, ale syn wchodził w paradę.

Stasiek poczuł pismo nosem, sianem się wykręcił i zwał z chałupy. Zwąchał, że z wiatrakiem szlus i z Maryską przyjdzie się pożegnać raz na zawsze.

Zdecydował wszystko postawić na jedną kartę. Tym bardziej, że usłyszał zgrzyt klucza, a po nim kanonadę czeladniczych nóg na schodach i gwizd po fajerancie. Wisielczą pogodę szedł Wiatrakowski zakropić kwaterką mocniejszej. Stacho mógł śmiało w mroku skrzydeł czatować na swoją dziewczynę.

Na szczęście długo nie czekał. Ze smugi światła otwartej drzwiami wyszła Maryś. Niosła latarkę i skopek w ręku. Cichcem wcisnęła się za nią do obory.

Z półmroku wyskoczył. W pierwszej chwili przeraziła się. Myślała, że to jej wróg przyczajony. W objęciach zaczęła się bronić i naraz osłabła.

— Myślałam — przełknęła głos — że to Wiatrakowski. Nigdy bym sama nie wyszła do dojenia, ale tato mówił, że ten czort poszedł do karczmy i nieprędko wróci. Ostatnio pije na umór.

— Maryś, a co będzie z nami. Stary chce wiatrak spylić. Z matką za plecami moimi coś po swojemu kalkulują. Głowę tracę. Chcę być z tobą sam na sam. Nie ma innej rady. Kiedy twoich twardy sen zmoży, wyjdź pod nasz wiatrak, będę czekał. Mam sposób dostania się do środka bez drzwi otwierania. Maryś, chcę cię przynajmniej raz jeden ukochać na całe życie. Tyle mi do głowy kładą Wiatrakowskiego, że aż się we łbie kręci.

Już miała go odepchnąć, ale zabrakło siły. Przez diabelskie i ludzkie języki nie mogła. Łzy przełknęła i wykrztusiła jakby nie swoim głosem:

— Przez okno spróbuję pod noc głuchą — a potem w popłochu — już idź. Czas wielki, skopek jeszcze pusty i dom lada chwila może się odezwać.

Minęła godzina. Może więcej. Czas tego, kto czeka niecierpliwie, różnie się liczy. Biegnie zamiast naprzód do tyłu, drepcze w miejscu, jakby kroku od ziemi nie mógł oderwać.

Stacho na szczeblu drabiny, którą z szopy dla wygody ściągnął, siedział pogrążony w myślach? Co robić? Fachu żadnego dobrze nie zna. Ze skrzypcami w świat ruszyć, nawet dla jednego nie starczy. Wyjechać do Ameryki, ale skąd wziąć grubszy grosz na szyfkarty.

Czekać rok, dwa i więcej. Młodość płynie jak woda. Przeleje się między palcami.

Z turbacji zaczął majaczyć i zgubił się w czasie. Na półprzytomny do siebie wrócił dopiero, kiedy usłyszał lękliwe: Stacho, gdzie jesteś?

Zerwał się na równe nogi, skoczył w stronę głosu i chwycił Maryś, jakby piórkim była. Poniósł ją do drabiny i zaczęli piąć się w górę. U szczytu precyzyjnie się przez otwór, który po wciągnięciu drabiny nakrył deskami dla niepoznaki. Po schodach objęci w pół szli na oslep stopień za stopniem wyżej i wyżej. W ten sposób dotarli do zacisznej izby wiatracznej, zwanej fejzą.

Siedli na posłaniu. Przygarnął ją ku sobie. Drżała na całym ciele. Z zimna czy z wrażenia. Czego się głupia boisz? Dodawał jej odwagi. Zrazu nic nie mówiła, a kiedy trochę doszła do siebie, zaczęła się żalić płochliwie.

— Jak złodziejka wyrwałam się z domu. Zaraz za oknem usłyszałam gwizd Wiatrakowskiego. Widocznie wracał z karczmy. Musiałam przeczekać za węglem, aż całkiem ucichło. Potem już nie tylko moje, ale nasze po omacku skradanie się, żeby ślady zgubić. Noc, że oko wykol, choćby serduszko lampki, choćby smarkata świeczka.

— Przecież światło zdradziłoby nas przez szpary — odsunął się od niej, jakby ochotę stracił. Wtedy ona nieco udobruchana zaczęła się do niego garnąć. Głowę odszukała i dłonie gubiła we włosach zwichrzonych.

Wiatr na chwilę, zdawało się, przycichł, gdy usłyszeli, jakby ktoś po schodach drapał się w górę. Z krzykiem, olaboga, dziewczyna rzucała się w kąt. Stacho skoczył do drzwi. Skrzypiące uchylił i naraz nadepnął na szczura, który wydał wizg i czmychnął. Trzasnął drzwiami, klucz przekręcił i podbiegł swoją strachulę uspokoić.

— To był szczur. Nie bój się. W fejsie ich nie ma. Żerują w sztochmalach, gdzie mają używanie.

Jeszcze się nie uciszyła, kiedy do drapania przyłączyło się wleczenie. Poczuli ni to swąd, ni to dym. Kiedy Stacho po raz drugi drzwi uchylił, zakrztusił się. Przez szpary w podłodze ujrzał ogień, który szedł w górę. Szedł ich drogą, jakby chciał stóp ślady wilgotne zatrzeć, zniweczyć podmuchem płonącym.

— Maryś — wrzasnął — wiatrak się pali. Od wewnątrz. Szczury pierwsze zwietrzyły. Poczekaj, uczepię cię jak worek mąki na linie i w dół spuszcze. Nie ma chwili do stracenia.

— A z tobą co? — zawołała w przerażeniu.

— Nie martw się. Dam sobie radę. Mam przecież głowę na karku. Okno wiatraczne odsonił. Na linie złożył marynarkę i dziewczynę usadowił. Kazał się mocno liny trzymać, żeby pętli za bardzo nie zaciśnąć. Sam pobiegł do kołowrotu. Podciągnął ją w górę, żeby wyprowadzić na zewnątrz, następnie skierował w dół. Popłynęła równo do chwili, aż sfolgowała i dobiegło wołanie: Jest Maryśka, jest. Nic jej się nie stało.

Tą samą drogą co dziewczyna iść na pośmiewisko nie chciał. Pognął w górę. Szczury i ogień za nim. Po drodze wyrwał drąg od kojca. Przy wiatracznym wale wybił otwór. Objął kloc rękami i następnie po dębowej obsadzie śmigi zaczął się zwinnie zsuwać w dół, jak kot. Migiem minął dwie płachty nieruchome i przystanął na metalowych szczeblach, aby nabrać tchu, gdyż górą wiatr był silniejszy. Od ziemi dzieliło go nie więcej niż trzy sążnie.

Wtem nie wiadomo co, może ogień, nie wiadomo kto, może niewidzialna ręka, wał wyzwoliła i mimo braku płacht śmigi wicher poderwał z mocą niebywałą. Ledwie zdołał się oburącz skrzydeł ucześcić, już był po przeciwnej stronie. Krzyż wiatraczny zwiększył rozpęd i przeszedł w koło. W ułamku sekundy może jeszcze usłyszał: Wiatrak zatrzymać. Na śmidze człowiek.

Nie było to w ludzkiej mocy. Wicher sprzymierzył się z podmuchem ognia. Śmigi nabrały takiego rozpędu, że Stach już się na skrzydle nie mógł utrzymać. Został wyrzucony w powietrze jak czarna błyskawica. Głową uderzył w kloc. W świadka spotkań balowych. Mózg się rozprysnął.

Koło iksaonowe odczuło wyraźną ulgę. Chwyciło płomienie i war-koczami iskier śmigało zwyż, jakby chciało niebo podpalić.

Wichura przeniosła ogień na wiatrak Łowińskich. Diabelskie młyny zaczęły po raz ostatni mleć ognistą mąkę.

6

Kto podpalił wiatrak? Ludzie zachodzili w głowę i nie mogli wymiarkować. Przecież Bielicki, który łaszczył się może na fajerkasę, nie chciałby syna utracić. Zresztą ślady słomy szły od pola, od wymłóconej sterty. Niewyraźne, jakby kto szmatą buty owinął.

Najwięcej poszlak było na czeladnika, który przepadł, jakby kto kamień w wodę rzucił. Niektórzy jednak powątpiewali. Wprost w gło-

wie się nie mieściło, żeby dobrodziejom swoim taką krzywdę wyrządził. Wszak wiedział, w którą stronę wiatr wieje i czym to grozi.

Byli i tacy, co posądzali podpalacza stodół, który niedawno z kryminału po odbyciu kary powrócił i miał ze Stachem porachunki, że świadczył przeciw niemu.

Ostatecznie skończyło się na Wiatrakowskim. Znalaziono bowiem na kartoflisku koński łeb ukryty w piasku. Od strony Bielickiego sterczał nie dopalony wiechetek. Wielu święcie temu wierzyło, ale szły także słuchy, że ktoś zrobił to dla głupiego żartu. Zawsze lepiej niechaj wierzący mają rację. Przez bojaźń.

Nadwiślaków srogi los doświadczył i zarazem pogodził. Za odškodowanie postanowili w swoich stronach wziąć młyn do spółki w dzierżawę. Widocznie doszli do przekonania, że zło tkwiło w nich, a nie w siłach nieczystych.

Nie ma różnicy. Od dawien dawna nieszczęście jest zawsze pod wierzchem, a po dobroć trzeba głębiej sięgać.

Kiedy już mieli ruszyć starym traktem, skąd przyszli, Maryś po raz ostatni pobiegła na cmentarz. Padła na kolana, objęła grób ramionami i palce wczepiła w świeżą murawę. Półprzytomną od mogiły ledwie siłą zdołano oderwać.

Furmanka już czekała. Kiedy ruszyła, psy z tyłu uwadzone biegly zgodnie z pyskami przy ziemi, jakby szcekać nie umiały.

Wiatr sunął piaszczystą drogą i ślad zdmuchiwał.

CZARNA I JASNA

„Tygodnik Kulturalny”, XIII 42 (645), 19 X 1969

1

Lubimy dobrze zjeść, jeszcze lepiej wypić, ale najlepiej kłać. Z potrzeby i bez potrzeby. Z przyzwyczajenia. Z wrodzonej chęci obrażania cudzych uczuć. Z arogancji i z przewrotnego ugrzecznienia. Niech cię choroba, tyle lat, skąd bogi niosą.

Pod tym względem byliśmy i jesteśmy najbardziej demokratyczni od skurwysynów do jaśnie pańskich stu diabłów. Jeszcze jeden tytuł do wątpliwej dumy narodowej.